

Czy wiesz co to jest linia prosta?

Trzeba pływać, po prostu dla siebie, i dla tego aby zapomnieć o tym co na lądzie. Starzy wyjadacze, znaczy żeglarze, mówią, że fale są nie bez przyczyny na morzu, taaaa... teraz to wiem. Cała sprawa z tym moim pływaniem miała swój początek, gdzieś tam w odległych latach mojej młodości. Książki Borchardta, Pertka, Jaskóły, i innych na trwałe ukształtowały moją życiową pasję. Jednak dopiero teraz, po latach mogłem się przekonać, czy faktycznie, falą są dla mnie. Jak do tej pory czyli września 2008, stałem sobie okazjonalnie na brzegu morza i myślałem, „ech tak popłynąć” Do czasu gdy bardziej z szukania sobie innego zajęcia niż pisanie pracy, myszkowałem w internecie i wpisałem w wyszukiwarkę „rejsy morskie”. Oferty są a jakże! Od Karaibów po Bałtyk, cóż nie chcąc utrudniać mojej rodzinie życia, gdybym tak jednak został w morzu, zawsze to bliżej nad nasze ojczyste morze, by rzucić wieniec, wybrałem rejs na Bornholm z Duchem Morza. Zadowolony z siebie, że zrobiłem w końcu ten krok, poczułem się już w pełni żeglarzem, tak, tak, te zdumione twarze kolegów, zatroskane miny rodziny, ech, opowieści jak to będzie i w ogóle zostałem wilkiem morskim pro forma, no po prostu, cudownie! Jak zwykle w takich wyprawach, stawiamy sobie pytanie co zabrać? Dobrze, że w efekcie nie zabrałem regału z książkami, ale doświadczenie dopiero pokazuje co jest przydatne a co nie. Mam nadzieję, że zostało mi już wybaczone pytanie „jak dużo żywności mam zabrać?” Dotąd cierpliwy jak Budda Przemek, odpowiedział coś w te słowa „...ile chcesz, byle by w kambuzie się zmieściło...” Oj tam, tylu interesantów, już nie pamięta. Koniec końców spakowałem ¾ rzeczy nie potrzebnych a ta reszta musiała wystarczyć na cały rejs. Jedno jednak jest pewne, należy zabierać ze sobą „...tę pogodę co w sercu będę ją miał...” jak mówi poeta w piosence. Tak, to podstawa! Dzień, za dniem, tik tak, taki tak, zegar powoli odmierzał czas i w końcu, nareszcie ten upragniony czas nadszedł. Sobota 20.09.08, o spaniu nie ma mowy, rano stres, czy wszystko mam, generalnie jak zawsze przysłowiowy Sajgon... a może lepiej zostanę w domu? Jednak muszę grać rolę wilka morskiego do końca przecież rodzina patrzy! Wskakuję do auta i dalej w drogę!



Świnoujście, już przeprawa promem daje przedsmak przygody, choroby morskiej podczas przeprawy nie dostałem, tak więc na morzu też powinno być dobrze. Po krótkim zagubieniu w mieście dotarłem do mariny, i o to jest! Czeka na mnie, jednak nie odplynęli beze mnie uff. Przy kei spokojnie czeka „Duch Morza”, nie powiem, w tym momencie coś mnie tknęło, hmmm, czy na pewno dam radę? Odgoniłem jednak złe myśli i zająłem się zwiedzaniem mariny. Spędzając czas zapoznawałem się też z załogą, po kolei schodzili się ludzie z którymi miałem spędzić ten rejs. „Cześć! – na rejs z Duchem?” zazwyczaj tak zaczynaliśmy znajomość. Potem wymiana imion, informacji skąd jesteś i już robi się fajnie. Wreszcie widzę z kim płynę. Teraz czekamy na naszego skipera. Ktoś Go zna? Pada pytanie, niestety nikt. Dalej pozostają domysły. W tym miejscu mała dygresja. Przed ważnym zdarzeniami, zazwyczaj wpadamy w stres, różnie reagujemy i robimy różne dziwne rzeczy. Ja na przykład stwierdziłem, że muszę sobie kupić gazetę. Po co mi była sobotnia gazeta, nie wiem, ale musiałem ją mieć! Tak więc do zbiórki pozostało 20 minut, a ja stwierdzam, że muszę biec na CPN po gazetę. Cóż pobiegłem, po drodze spotkałem jakąś parę, ale co tam... przecież ten młody chłopak to nie może być kaptan, no nie? Oczywiście spóźniłem się na zbiórke, i nie trzeba przecież być filozofem, żeby wiedzieć, że właśnie mijana para to mój kapitan ze swoją lepszą połową. Na dzień dobry, wpadka, zapowiedź doskonała. Z drugiej strony, to już lepiej się zapoznajesz, zostajesz zapamiętany. Kapi-

tan, Tad, kim jest ten młody człowiek? Powiem szczerze w głowie kłębiły mi się myśli, czy On na pewno potrafi pływać po morzach itd... I lekka nuta zazdrości, tak, to straszna rzecz, ale cóż, tak było. Po uwagach na temat spóźnialskich, można już było wejść na pokład. Rzucamy wory do kokpitu i ciekawie rozglądamy się dookoła. Poznaje Marcina z którym dzielę wspólną kaję, On 5 ja szczęśliwą dla mnie 6, przynajmniej tak sobie założyłem. Przed wyruszeniem w rejs odprawa. Siadamy wszyscy w mesie i zamieniamy się w słuch. Skiper tłumaczy dosłownie wszystko, co i jak na pokładzie. Jeżeli komuś do tej pory roller coaster kojarzył się wesołą przejażdżką w luna parku, to teraz mógł poznać prawdziwe znaczenie tego słowa. Ja nie wierzyłem, ale boleśnie przekonałem się o słuszności tego określenia. Dotyczy oczywiście usług świadczonych przez kingston podczas rejsu, kiedy trochę buja. Generalnie wiem to teraz, że cóż, po prostu faktycznie kapitan wie lepiej i kropka. Dużo spraw dotyczących obsługi poszczególnych urządzeń oraz bezpieczeństwa. Wszystko wydawało się totalnie nowe i chyba faktycznie takie było, łącznie z obsługą kuchenki gazowej itd... ale uwagi na temat noszenia kamizelki asekuracyjnej nie były już wcale śmieszne, tu kapitan był jak pirat, groźny do bólu, nie masz kamizelki, nie jesteś zapięty, schodzisz i kończysz rejs. Podział na wachty, jestem z kobietą co podobno już pływała i w ogóle coś umie i wie, tak więc powinno być dobrze. Do wyjścia w morze pozostała godzina. Szybka kąpiel, upychanie w szafkach dobytku i płyniemy! Nareszcie już tuż, tuż zaraz oddamy cumy i poznam co to prawdziwe żeglarskie życie. Motylki w brzuchu zamieniają się w nerwowe wróble, emocje trudne do opanowania, podpatruję innych ludzi z załogi, czy Oni tak samo jak ja? Donośny głos Tada przerywa moje wątpliwości, zajmujemy wyznaczone stanowiska, wychodzimy z mariny i płyniemy! Z godnością zajmuję miejsce przy moim odbijaczu i pilnowałem co by się nie utopił. Muszę przyznać, że zajęcie to wydało mi się na początku raczej hmmm, takie mało odpowiedzialne, ale jak pokazało życie, liczy się wspólna praca całej załogi i efekt, który z tego wynika. Wychodzimy na silniku, wszyscy w kokpicie usadowieni wygodnie, czekamy na pierwszą przygodę. Mnie interesuje wszystko co widać na nabrzeżach dźwigi (taaaaa... te dźwigi, są już teraz dla mnie przysłowiowe, znaczy: „przed nami regaty...” hehe...), infrastruktura portowa, same statki, holowniki itd... W ogóle, dużo się dzieje nie można się nudzić. Należy też dodać, że pogoda dopisała, słońce, wiatr 3B, generalnie jak na koniec września całkiem ciepło. Gdy tylko odpłynęliśmy trochę od główek portu, postawiliśmy żagle. Co za widok i przeżycie, wiatr wypełnił żagle i w ciszy płynęliśmy dalej. Można by rzec, sielanka, już wydawało mi się, że jestem na wczasach gdy nagle, Tad zapytał „kóra godzina i kto ma wachtę?” Szybko doszliśmy do wniosku, że właśnie my, skoro tak, to zapraszam za koło! Marta jako, że już wcześniej pływała przejęła koło sterowe, ja na „oko” czyli obserwuję morze co się na nim dzieje, kurcze co się może tu dziać? Tyle miejsca w o kół, hmmm. Chyba inni nas widzą? Zaraz, zaraz na szkoleniu kapitan mówił „obserwacja na morzu jest b. ważna, ba! najważniejsza!” Tyle tych ważnych rzeczy, obserwacja, szelki, pić wodę... itd... itd., chyba koniec sielanki. Jak się szybko okazało, sterowanie jachtem jest owszem przyjemne ale też wymaga doświadczenia. Marta, radziła sobie całkiem, całkiem, ja poradzę sobie śpiewając, co tam, to tylko taka większa kierownica, zupełnie jak w samochodzie. Moja pierwsza przygoda, tak teraz o tym myślę, jest właśnie związana z pierwszym sterowaniem jachtem na morzu. Co tam! Myślcie sobie co chcecie, ale dla mnie wtedy Bałtyk wydał się wielce sztormowy i nie okiełznany. Owszem trochę bujało, przechylało nas miło, ale jak dla mnie było to i tak dużo „o jej wywracamy się!” hehe. Moje pierwsze pytanie do Tada było właśnie takie „czy ten jacht się wywraca?” w spojrzeniu uchwyciłem nutkę niedowierzania, ale odpowiedź była konkretna „nie pozwolę Ci na to!” uff... uspokoił mnie! Gdy już wymieniliśmy się z Martą za sterem, to co zewnątrz wydawało się całkiem proste, teraz takim przestało już być. Często tak bywa, cóż boleśnie się o tym miałem przekonać. Początek był całkiem miły zupełnie jak z piosenki „pierwszy raz przy pełnym takielunku...” Wygodnie ustawiłem się za kołem i jest super, do czasu gdy z nie wyjaśnionych dla mnie przyczyn, jacht odbija w lewo. Długo nie czekając, kręcę kołem w prawo, przecież muszę płynąć prosto, a jakże, łajba po chwili posłusznie przechyla się w prawo i skręcamy ostro w tym kierunku. Generalnie, udało mi się od razu wykonać „Szalonego Iwana”, bravo! Pomyślałem, teraz będą się ze mnie nabijać do bólu. Stało się jednak zgoła coś innego. Kapitan spokojnie mówi co robić, tłumaczy jak trzymać kurs, „widzisz tę chmurę?, to płyn na nią, spokojne ruchy na kole, to nie kierownica w samochodzie, zasady są tu inne...” hmmm... łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. To co nastąpiło później, można by określić jako piękną katastrofę. Starłem się, naprawdę mocno chciałem pokazać, że wykład skipera nie poszedł na marne. Cóż, ja chciałem a jacht pływał jak chciał. Generalnie nie mogłem poskładać w jedną całość: chmury na którą należało sterować, wyczucia kiedy ster już słucha koła, kiedy sterować w prawo czy w lewo i jeszcze robienia dobrej miny do złej gry, hehe.... Tak w su-

mie, gdyby teraz mnie wysadzili, to jeszcze może jakoś bym dopłynął do plaży, uratowałem się chyba tylko dla tego, że przez te szaleństwa wśród załogi zaczęły się pojawiać pierwsze symptomy choroby morskiej. Ufff, Tad zszedł pod pokład, przynajmniej nie będzie widział co się dzieje! Może mi się jakoś upieczę. Za chwilę czupryna skipera pojawia się w zejściówce i słyszę „Prosto!!!!, mówiłem prosto!” Tak jest! Prosto! I znowu to samo, raz płyniemy na Rugię a za chwilę Gdańsk. I znowu cierpliwe tłumaczenie co i jak, potakiwania „tak, oczywiście, no jasne!” Cóż, czasem tak już wychodzi, że bardzo chcemy, ale po prostu nic z tego nie będzie. Tak było w tym właśnie przypadku. Dość powiedzieć, że byłem już mokry jak woda w Bałtyku i powoli zniechęcałem się do żeglarstwa. Przecież tego się nie da opanować. Myślę, że i kapitan powoli dochodził do podobnych wniosków, po kolejnym zygzakowaniu, wyszedł na pokład i czule zapytał „Czy Ty wiesz co to jest linia prosta?” Tak, teraz każe mi wyskoczyć za burtę i po wszystkim, coś krótka przygoda, ale była! Chyba tylko fakt, że właśnie wybiła 20:00 i zmienialiśmy się z następną wachtą uratował mnie przed słuszną karą. Skwapliwie przekazałem koło sterowe w bardziej godne dłonie, a sam starałem się być niewidzialnym dla skipera i załogi. Gdy już miałem czmychnąć do swojego kojo, Tad zadał mi pytanie: „o której masz następną wachtę?, o czwartej, a cha... spokojnie! Do 8 będziesz już super sterował” Myślcie co chcecie, ale na poważnie wtedy myślałem, że łącznie z kapitanem wszyscy są na mnie mocno wkurzeni. Oczekiwałem raczej czegoś w rodzaju: „reszta rejsu w kambuzie!” i zakazu wchodzenia za ster. Jednak nic takiego nie nastąpiło, hmm, wręcz odwrotnie. Marcin, mój kolega z kojo, pocieszał mnie słowami „dasz radę, tylko spokojnie na kole!” i stwierdził, że przyjdzie do mnie na następną moją wachtę i mi pomoże. Trochę mnie to podbudowało, bo nastrój miałem pod psem. Taki ze mnie żeglarz, hehe, wszyscy zobaczyli, ale lipa! Na swój użytek, szybko wypracowałem sobie swoją teorię „linii prostej” otóż jak mawiał filozof „wszystko jest trudne nim stanie się proste” tak samo więc jest teraz. Trzeba po prostu ćwiczyć i już! Na stanowiska weszła zmiana, zostałem z nimi w kokpicie i patrzyłem sobie jak to robią fachowcy. Cóż, Natalia, którą miałem okazję obserwować sterowała po prostu profesjonalnie, faktycznie można „po linii prostej” hehe. Opanowała mnie zazdrość, a niech to! Ja też się tego nauczę. Jak na razie jednak udałem się w końcu do koi, położyłem się i odliczałem godziny do mojej zmiany. W nocy okazało się, że nie tylko ja wykonałem „Szalonego Iwana”, jednak nie tylko ja muszę się czegoś jeszcze nauczyć.



Był to mój pierwszy morski rejs. Płynęliśmy na Bornholm zupełnie blisko, ale jak dla mnie, była to bardzo daleka wyprawa w głąb siebie oraz doznań, których nie znałem. Pierwszy dzień i noc na jachcie pozostawia niezatarte wspomnienia. Przyznam, że przechyły, bujanie i wycie wiatru w takielunku zrobiły na mnie wielkie wrażenie, coś, trzeba też przyznać, pojawił się też zwykły strach wynikający z tego „pierwszego razu” na morzu. Jak szybko się położyłem tak szybko przyszedł czas naszej wachty. Godzina 4 rano, wieje, zimno, ciemno, niedziela, ludzie śpią w domach a ja? Pakuję się w sztormiak otulam jak najcieplej i dalej na górę! A tam, jest, czeka, wielkie koło sterowe, przez noc nic się nie zmieniło, dalej tylko z jego pomocą dopłyniemy tam gdzie jest nasz cel. Zmieniamy wachtę Marcina, na szczęście dla mnie, Marta obejmuje ster jako pierwsza... uff... może tak lubi sterować, że będzie to robić przez całe 4 godziny? Myślę sobie. Jednak już po 30 minutach okazało się, że choroba morska, która dopadła moją partnerkę jest silniejsza. Muszę chcąc nie chcąc, zająć miejsce za kołem. Przypinam się do achtersztagu i zaczynam walkę. Kapitan wychodzi do nas, ustala czy wszystko porządku i czy Marta da radę pełnić rolę „oka”, nic

żadnych nawiązań do sytuacji z minionego dnia, tylko kurs, odpowiedź „spokojnie stary na kole i będzie ok.!” Powiem tak, wszystkie moje obserwacje poczynione wcześniej oraz odpowiedzi pomogły, faktycznie zacząłem powoli łapać „linię prostą” Oczywiście nie od razu, jak dla mnie trochę wiało, falowało i w ogóle było „ciężko”. Wszystkie niewygody rekompensował fakt bycia i przeżywanie całej sytuacji, powoli wstawało słońce, dookoła tylko morze, Marcin wyszedł do nas aby pomóc i oczywiście jako pierwszy zobaczyć zarys lądu. Właśnie wtedy odwiedził nas ptaszek i w najlepsze usadowił się w kokpicie między nogami Marca... bez złośliwości, ale stwierdziliśmy, że ten to ma szczęście! Oczywiście pierwszy zobaczył na horyzoncie Bornholm oraz ten ptak! Dochodziła godzina ósma, czas zmiany wachty, oczywiście moim zdaniem już wspaniale sterowałem, tajemnica została oprowadzona. Zawsze jeszcze jest jeszcze coś, czego możemy się nauczyć, nawet to jak nie chodzić a pływać w linii prostej!

Dziękuję Kapitanie!

Krzysztof Łakomski

